

Barbara Borysiuk

Sygnatura notacji: N1227

Data urodzenia: 19.01.1929 r.

Data nagrania: 22.02.2018 r.

Miejsce nagrania: dom świadka, Warszawa, Polska

Prowadząca/y rozmowę: Tomasz Sikorski

Czas nagrania: 71 min

Format nagrania: video

Język nagrania: polski



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Barbara Borysiuk: I to moje nazwisko jest... Ja nazywam się Barbara Borysiuk. Ja jestem właściwie Maria Borysiuk, ale mnie wszyscy znają z Barbary. To może pozostać, jak najbardziej. Barbara Borysiuk jestem. Mieszkam na Pradze, na Targowej ulicy. Działalność prowadziłam na bazarze Różyckiego do ubiegłego roku, to jest do 2015 roku. W tej chwili jestem w domu, dlatego że mam chore nogi i nie mogę chodzić. Jestem w domu, już nie mam potrzeby być na bazarze. Przystałam 65 lat na bazarze Różyckiego. Ale chciałam powiedzieć o osobie, której tylko jest mojego męża, dosłownie chcę powiedzieć, jest ciotką. Mieszkała, nazywała się Bronisława Twardowska. Mieszkała na róg Konopackiej i Wileńskiej. Ciotka przetrzymała. I ten dom, zaraz tu jak tylko Niemcy weszli, to ciotka była tam dozorczynią przez iks lat w tym domu. Róg Konopackiej, tak jak powtarzam, i Wileńskiej. Po wejściu Niemców do ciotki zwrócił się kiedyś, nastąpiło już getto i zwrócił się jeden z Żydów. Nazywał się tylko i to, co ja wiem, bo ja nie byłam z tym w ogóle związana, na imię miał Ludwik. Tych innych imion nie znam, bo nigdy mi nie mówiła ciotka męża i tylko tego Ludwika. Więc przetrzymała ich do końca okupacji. Przez cztery lata. Więc była taka spiżarnia. Rozebrali tam kawał muru, wymurowali, pogłębili to i tam przetrzymała ciotka czterech Żydów. Po wyzwoleniu to jeden z tych Żydów, więc dlaczego on, jakim cudem ona ich przetrzymała. Więc ludzi wysiedlili z tego domu i tam założyli szkołę niemiecką dla Niemców. Dla niemieckich dzieci, folksdojczy, to jak na placówce był. Tak jak mnie ciotka, ona też taka nie była bardzo mocno światła, żeby mogła to inaczej. Tylko mówiła i tam wszyscy wiedzą, że to była szkoła niemiecka. Że ciotka była tą dozorczynią, więc pozostała tą dozorczynią i cały czas tam była. Więc tam udostępnili im, że to pogłębili i oni tam byli, tych czterech Żydów. Tak jak ja wiem, to ten wuj, mąż ciotki tej Twardowskiej, to już nie wytrzymał nerwowo, bo musiał jeździć po sklepach, kupować po jednym chlebie, bo oni byli bezdzietni. Ciotka Twardowska i wujek, oni byli w ogóle małżeństwem bezdzietnym. Więc jeździł, żeby nie zwrócić uwagi, bo jednak

dwie osoby, a to trzeba było na sześć osób. Tak że bardzo się poświęcał, bo jeździł po sklepach, tu jeden chleb kupił, tam jeden chleb. W każdym bądź razie, że nerwowo nie wytrzymał i wziął, trochę się rozpił przy tym, gdzie w ogóle był bardzo... Na poczcie pracował, ale nerwy poniosły go, bo to już trwało nie rok, tylko już dwa lata, jak oni tam byli i wziął, się powiesił, odebrał sobie życie. Napisał, że nie wytrzymuje już nerwowo i sobie odbiera życie. Gdzie pochowany, to nawet ciotka nie mogła, bo to wszystko było już później po kryjomu, tak żeby nie robić rozgłosu wokół tego. I oni w nocy wychodzili, bo to było w ogóle zamknięte to podwórko. Stał zawsze żołnierz przy bramie, to oni w nocy wychodzili, godzinę, półtorej, tak jak ciotka mi mówiła. Ja tam specjalnie aż takich nie miałam, że z ciotką tam utrzymywałam bardzo bliskie. I była siostra mojego męża, Zofia Brzezińska. Ona bardzo tą ciotką się opiekowała. To znaczy opiekowała się. Chodziła, jej tam pomyła, zrobiła. Do końca życia, tak że ją nawet pochowała. A był taki pan administrator. Nie pamiętam, jak on się nazywał. I on tam ciotce załatwił, bo ten Ludwik tyle przysyłał, że żeby tam była liczna rodzina, to by też samolotem przysyłał i ubrania, co im było niepotrzebne, ale to walizki i przysyłał jej 50 dolarów miesięcznie. Przysyłał jej. Zabrał ją tam do Belgii, bo tutaj jak się skończyło właśnie, już skończyła się okupacja, to on kupił od wojska, pan Ludwik, kupił od wojska zmarznięte kartofle, co tam było parę wagonów. I przerobił to na mąkę kartoflaną i zarobił duże pieniądze. Zarobił duże pieniądze i pożegnał ciotkę, i wyjechał do Belgii. Tam otworzył wielką fabrykę czy pracownię kaletniczą. Torby, tam... Kaletniczą. Tak że to wszystko skórzane. I później podobno otworzył drugą fabrykę puszek. W ogóle on ją bardzo finansował, bardzo. Listy były pisane ze łzami w oczach, że ją kocha, że dla niego więcej jak matka, że się tak poświęcała. Ludwik nie potrzebował. Ale napisał do tych trzech: „Słuchajcie, trzeba żebyście chociaż ciotce podziękowali, bo ona to bez żadnych... Nie dostała odwdzięczenia, to raz, i żadnych materialnych nie miała z tego”. Ona ze swojej pensji dozorczyńi i tego wujka, to ich utrzymywała. Tak że żadnych materialnych, nie było mowy o niczym. Tak że i napisał do nich, że warto, żebyście... Bo ja nie potrzebuję, żebyście mi dokładali czy co. Ale byście chociaż ciotce podziękowali za to, że nas przetrzymała cztery lata. Dwóch jest w Kanadzie, jeden jest w Ameryce. To oni odpisali, ja nawet ciotce zawiozłam do tłumacza na Żoliborz ten list, bo ciotka zalała się łzami. Napisali, że: „Tej pijaczce to my nawet nie wyślemy dolara jednego”. Ciotka nie była pijaczka. Nieraz przy nerwach to może tam, ale żadna pijaczka. Można przeprowadzić wywiad, że nigdy tam nie była żadną pijaczką. Jak każdy człowiek, czy goście czy coś, ale nie była pijaczką. Ludwik im tam podobno odpisał, ale to już nic nie pomogło i już w ogóle nikt się nie kontaktował. Tak że co jeszcze mogłabym powiedzieć? Do końca życia Ludwik utrzymywał, w ogóle przyjechał tu na pogrzeb, z dziećmi przyjechał na pogrzeb, wszystko finansował i właśnie Zosia Brzezińska tę ciotkę, bo to była ciotka dla niej. Mojego męża najstarsza siostra. To ona się opiekowała ciotką. Ciotka w sumie to do końca życia była sprawna, była zdrowa na umyśle. Jeśli chodzi o daty, to ktoś pojedzie na cmentarz na Bródno i tam w kancelarii wszystko dowie się, jeśli to by było potrzebne. I tyle się skończyło. To tylko ratowało, bo bardzo ciotkę lubili ci Niemcy. Te dzieci, bo tam połowa szkoły była dla dzieci, a połowa dla tych doksztalcających się. To tylko ratowało, że tam nikt nie wchodził. Ciotka nie miała dzieci. Towarzystwo nie przychodziło, bo miała zabronione, żeby tam przychodził, tylko Zosia Brzezińska przychodziła, a tak to nikt nie przychodził, bo w ogóle zabronione miała ciotka, żeby tam kogoś w ogóle przyjmowała. Ze strony Niemców to było zastrzeżone. Tak że oni tam sobie żyli jak w raju u ciotki. Żadnych materialnych rzeczy nie było. Nawet jednego grosza. Dzięki tylko w zasadzie temu Ludwikowi, to ona sobie dobrze żyła. Mogłoby tam parę, to rozdawała tam dla biednych, dla tych, bo w tym czasie, kiedy dolar był 5 złotych, to takie 50 dolarów miesięcznie. Nawet myśmy tu mieli list, bo on do nas napisał. Do męża mojego, że: „Jakby pan mógł, to najdroższy wóz proszę kupić, samochód, postawić kierowcę”. A to o tym Ludwiku, więc on prosił na wszystko. Że ma wielkie kłopoty z przesyłaniem tych pieniędzy co mie-

siąc. Czy by mąż nie kupił tu najdroższy samochód, że on sfinansuje i postawi kierowcę i żeby te 50 dolarów, ile tam jest zarobku dla ciotki, żeby przekazywał i żeby tak jakby... Bo mąż jeździ... w ogóle jeździł mój mąż na taksówce, dlatego on się zwrócił do męża o ten samochód i żeby mąż. Mąż odmówił, bo myśmy prowadzili pracownię, tak że nie było czasu na to. To on nikomu i ciotka nikomu tego nie powierzyła, bo nie było aż tak, żeby to ona mogła tak sobie z tego korzystać, bo nie było najbliższych. Zosia to też już starsza osoba, która była na emeryturze. Tak że na tym to się skończyło. Męża mojego ciotka mieszkała róg Wileńskiej i Konopackiej. Nazywała się Bronisława Twardowska. Ja tylko raz jeden, co przysłał ten list, Ludwik przysłał, jak się wypowiedziało tych trzech, to ciotka przysłała do mnie z płaczem i mówi: „Słuchaj, Basia, ty taka operatywna. Zobacz, jaki on jest... A ja bym chciała, żeby to ktoś przetłumaczył i powiedział, bo ten administrator może kłamać”. Bo on jej rozczytał trochę tam. Tyle, co mógł, rozczytał. Ale ona nie wierzyła, bo nie przypuszczała, że oni w ogóle w taki sposób. W okropny sposób, że: „Tej pijaczce nie przysła nawet śmierdzącego dolara”. Dosłownie było tak napisane. I ja pojechałam, na Żoliborzu był tłumacz, bo mi ktoś polecił i przetłumaczył, że jednak tak było napisane, że nie wysła ani jednego śmierdzącego dolara tej pijaczce Twardowskiej. Z zaznaczeniem, że tej ciotce Twardowskiej, żeby nie było, że tam komuś, coś, tylko dosłownie nazwiskiem i imieniem, że nie wysła i nie wysłali, nie napisali. Ludwik już nie pisał. Skończyło się, że tylko do końca Ludwik. Ludwik to naprawdę, że ja nieraz popłakałam się, jak tam przeczytałam list, jak on jej przysłał, jak on ją uwielbiał. On chciał ją w ogóle zabrać do tej Belgii. Ona tu żyła była, bo jeszcze tu było rodziny... Ja mieszkałam na ulicy Okopowej. Po drugiej stronie, Okopowa 44. Miałam wtedy może 9 lat. I taką mamą miała krawcową, która nam tam szyła, przerabiała, bo mama też biednie, bo tatuś zmarł, miał 35 lat. Zostało czworo dzieci. Mnie jeszcze na świecie nie było. To dotąd Żyd bardzo lubił i zawsze: „Pani Czerwińska, pani to taka wypłacalna”. Bo żył tatuś, prowadzili rzeźnictwo na Kercelaku, mieli jatkę z mięsem, to się im źle nie powodziło. Tatuś zmarł, bo zachorował, to Żyd na drugi dzień wyrzucił mamusię z dziećmi na podwórko. Już nie była „pani Czerwińska”. Nie była potrzebna. Bo już nie miała z czego zapłacić czynszu. Ale ja, proszę pana, pod przysięgą, pod przysięgą mogę zeznać, bo byłam u pani Wisienki, bo palto mi szyła i widziałam na własne oczy na Skrze stało, ile tych Żydów, ja ich nie liczyłam, ale widziałam lenty i oni ich rozstrzelali. Wiem, na którym murze. Patrzyłam do końca od początku, jak ich przywieźli budą. Może ich było 20. Na Skrze, bo tak się nazywała, bo to był klub sportowy. Był piłkarski, był tenis tam. Tam nawet bracia moi należeli do tego klubu. Tak że proszę pana, pod przysięgą mogę zeznać, bo to był mur, który łączył cmentarz ewangelicki z cmentarzem żydowskim i Powązkami. I tam jest ten trójkąt. Tak że ja mogę powiedzieć to, bo akurat okno wychodziło tej Wisienki na Skrę. I tylko tyle, co jezdni dzieliła. Nawet tramwaj, chodziła ósemka. Tak że to, gdyby nawet przyszło mi przysięgać, to ja bym przysięgała wtedy, ile... No, jakieś 11 lat miałam. Tak że już taka dziewczyna byłam. I ta Wisienka stała. To już wszystko pokolenia, które już nie żyją. Ale ja jeszcze żyję i jeśli byłoby, to ja bardzo chętnie, bo naprawdę mówię, że pod przysięgą mogę to zeznać.

Tomasz Sikorski: Przepraszam panią, to był rok 1940?

Barbara Borysiuk: Tak. Chyba w rok, jak tylko getto. Bo nas też później wysiedlili. Później mieszkałam Okopowa 18. To mama na stałe zamieniła się. Przyszedł taki znajomy Żyd, od którego mama kupowała tak zwane jelita na kiełbasę, bo rodzice robili jeszcze... Mieli taką masarnię. Tak że przyszedł, czy by mama się nie zamieniła. Bo on mieszkał Okopowa 18, a my 44, gdzie już należało, proszę pana, to do getta. Jeszcze jedną mam taką uwagę. Mama była bardzo, bo mama mówiła, że taki Lipszyc, Żyd bardzo mamie pomagał, bo było bardzo biednie, tatuś zmarł. Nie mogła mama

sobie poradzić. Czwooro małych dzieci, najstarszy brat miał 9 lat. Tak że ten Lipszyc bardzo mamie pomagał. I mama wzięła mnie, wzięła mnie i myśmy przez dziurę z mamą przeszli na Glinianej ulicy. Chyba do dziś. Przy fabryce Fajfra na Okopowej i taka krótka uliczka była, co tylko Fajfer, ten jego mur przylegał do tej Glinianej. Mama mnie wzięła i żeśmy wzięli tam jedzenia, i żeśmy przeszli przez tę dziurę. Przeszliśmy, to ja też... To wszystko ja sobie nie zmyśliłabym nigdy i nie umiałam kłamać i nigdy z niczego nie korzystałam. Widziałam, jak doszedł taki Żydziak, on doszedł, on się przeczłogał. Taki ze 12 lat. Doszedł do tego policjanta Żyda, bo oni mieli te lenty i z tego wiedzieliśmy, że to jest Żyd. Doszedł, to dziecko się przyczłogało i ja wyjęłam takie, co mama tam mi dała, bośmy wzięły, mama trochę chleba wzięła, trochę tego i ja poszłam, temu dzieciakowi chciałam dać, a on jak mnie złapał tak za kark i popchnął mnie: „Nie wolno dawać!”. Nie dał mi dać temu dzieciakowi. A on za parę zmarł, bo z głodu. Bo to tylko prawie skóra i kości. To tyle wiem, proszę pana, to, co widziałam na własne oczy. Nie ktoś mi powiedział, już więcej z mamą nie chciałam iść. Mama tam jeszcze temu Lipszycowi, tam go ratowała. Później on poszedł w to powstanie, które powstało w getcie. Mama poszła, ale już jego... Bo on poszedł podobno, bo to taki kawał postawnego mężczyzny, poszedł w powstanie, jak wybuchło. To to też, proszę pana, bardzo źle się obchodzili. Okropnie. Okropnie się obchodzili. Dziś już stoję nad grobem. Jednego słowa nie kłamię. Okropni byli, bezwzględni byli. Widziałam, jak na Kierkut wozili na tych taczkach tych zmarłych Żydów. To okropnie, rzucali w najgorszy sposób. A jak tam szła czy rodzina, czy matka za synem, czy za córką, to nie da się opowiedzieć tego, jak oni w ogóle traktowali. Może dlatego, żeby swoje życie uratować. Tego to ja nie mogę powiedzieć. Ale to, co pamiętam, nie byłam jakimś dzieckiem, co miałam czy pięć, czy sześć lat. Ja już miałam 11 lat. Pamiętam to i nic tu nie kłamię jednego słowa. To, co widziałam, to, gdzie byłam i dlatego, i tej ciotce Twardowskiej, bo wiem, jak było strasznie i bardzo się poświęciła. Cztery lata utrzymać czterech mężczyzn dorosłych i w takich warunkach, gdzie tam byli Niemcy. U Niemców właściwie ich przechowała. I tylko dzięki temu, bo tak na pewno by ich czterech nie utrzymała nigdzie, bo zawsze się... Tak jak myśmy, mama bardzo chciała temu Lipszycowi pomóc. To w domu tym, Okopowa 18, gdzieśmy mieszkali, było dwóch folksdojczy, co poszli, Krygier się nazywali ci bracia. Poszli jako folksdojczy. To gdzie by utrzymał? Tak że wielki... Ja tylko dlatego robię, że bardzo doceniam, jak ona się poświęciła. Bardzo się poświęciła.

Tomasz Sikorski: Mam jeszcze jedną prośbę. Bo tak jak pani opisywała te sceny z getta, to pani mówiła o tym, jak policja żydowska traktowała swoich.

Barbara Borysiuk: Jak rozstrzeliwała. Wtedy pod tym murem właśnie wykonali egzekucję. A z czego, ja mówię, że blisko Wisienka, to tylko przez jezdnię mieszkała, na trzecim piętrze. I ja widziałam, dlaczego widziałam? Bo lenty mieli i tam się kręcili, bo to upadało. Tam wykonali egzekucję. Policja żydowska. Tak jak mówię, proszę zaznaczyć, że ja mogę złożyć przysięgę, że na własne oczy to widziałam. A tam się wychowywałam, tam się urodziłam, tam na tę Skrę żeśmy i te biedne dzieci chodziły tam, to na sankach, tak że znałam, byłam, widziałam. To żeśmy... I taki bardzo był przyzwoity, i bardzo tam podobno w ogóle Żydzi go wychowali, bo matka zmarła przy porodzie i Żydzi go... Na miasteczku. Kiedyś to się tak nazywało, nie wiem, czy do dzisiaj. Na Powązkach po prawej stronie, jak kolejowy ten przejazd i w dole to właśnie były, tam mieszkali Żydzi, ale mało Żydów. Cyganie. I nazwane było miasteczko. I proszę pana, to... Na tym miasteczku właśnie mieszkał też ten Marian Papierowy. Kochał Żydów. Kochał ich. I z nimi cały, bo podobno takie wersje chodziły, ale on był rzeźnikiem. To on przenosił po murze, też tam nawet moja mamusia mu powiedziała, że: „Słuchaj, Marian, idź na Glinianą, tam jest dziura, ale z tej dziury nie korzystaj, tylko z tego muru,

bo ten kawałek tego muru jest w ogóle nieodrutowany. Nie ma drutów". I on tam przerzuciał. Czy on brał pieniądze? Na pewno handlował. Na pewno handlował. I zabili go tam na tej Glinianej, na tym murze życie położył. A takich było bardzo dużo. Tak jak ja, jak rozmawiali na Kercelaku była hala, były jatki, to rozmawiali, że te chłopaki tak ryzykują. Zarobią, ale tak ryzykują. To prawie żaden z tego miasteczka nie ocalał. Wszystkich ich pozabijali Niemcy. Tyle, co, to, co ja wiem i mówię wszystko prawdę. Jednego słowa tutaj nie zmyślam, bo nie mam potrzeby. Przecież nic z tego nie mam, żadnych korzyści ani w ogóle nigdy. Starłam się żyć uczciwie i jestem uczciwa, gdzie mogę, to bronię, gdzie mogę, to pomogę. Nie jestem jakąś, proszę zasięgnąć opinii o mnie. A to, że nie mogę ścierpieć, że dlaczego jeszcze za tyle naszego, ile ludzi na barykadzie, to przed naszym domem była barykada. Pan Michoń, trzech synów i on zginęli na naszych oczach. Na Kercelaku też miał jatki z mięsem. Bardzo biednie żyli, bo u nas było bardzo źle, żeby sprzedać, to w ogóle była konkurencja ze strony Żydów. Ze strony Żydów. Oni taniej, oni mogli dać... Umieeli handlować. Polak nie umiał tak skrócić. Może niepotrzebnie to mówię, ale pokazał: „Oj, pani będzie miała gości może. Ma pani jeszcze tę kość. Ja pani dokładam darmo”. Ale tutaj co swoje zrobił, to zrobił. Tak że ta kość to była nadpłacona. A Polacy bardzo nędznie. Nie mogli trzymać mięsa wołowego, Żydzi trzymali tylko. Żydom wolno było handlować wołowym mięsem, a Polacy mogli tylko handlować wieprzowiną.

Tomasz Sikorski: Ale teraz pani mówi o jakich latach?

Barbara Borysiuk: Słucham?

Tomasz Sikorski: O jakich latach pani mówi w tej chwili, o tym handlu?

Barbara Borysiuk: Tak.

Tomasz Sikorski: W jakich latach?

Barbara Borysiuk: W latach, proszę pana, 1938 rok, 1937 rok. W 1939 roku, to mój brat przychodził tu na rzeźnię z panem Słomińskim i świnie, krowy, to drzewo jadły. To brat z tym panem Słomińskim nad Wisłą wodą polewali, zabijali i stała kolejka na Kercelaku trzy kilometry, żeby dostać kawałek. Bardzo się brat poświęcał, ale i zarabiał. Przyszli dla zarobku. Bo nic nie było. Mama znów gotowała, kobiety przychodziły, sąsiadki, te łebki skrobały. Gotowali, pani Sokołowska dawała kapustę, bo handlowała na Kercelaku warzywami. Znam ja te wszystkie lata, proszę pana, bardzo. I gotowały, kotły wynosili, bo żołnierze szli. Głodni, poranieni, bandażę darli ludzie, tak jak widziałam, mama i sąsiedzi, to darli prześcierała, bo nie było bandaży. Krew się lała, nie ma bandaży, obandażować. Tak że ja wszystko, proszę pana, znam, pamiętam. Tak jak powiedział pan Walter: „Pani powinna wydać książkę, bo takich jak pani, to dzisiaj już nie ma”. Tak. Więc urodziłam się w 1929 roku, 18 stycznia. Moje nazwisko Czerkwińska, rodowe. Rodzice mieli na Kercelaku jatkę z mięsem. Tatuś zmarł w 1929 roku i to ja się urodziłam po śmierci tatusia w trzy tygodnie. Mama prowadziła tę jatkę do końca wojny, ale i w czasie okupacji. Na Kercelaku prowadziła cały czas tę jatkę. Już bracia moi, bo nas czworo było, więc bracia już podorastali trochę i prowadzili. Jeszcze szczęśliwie, bo mój brat umiał trochę ze szkoły po niemiecku, to jak zrobili łapankę, jeden między budkami się wychylił i zobaczył Niemiec, tak wszystkich wyprowadził, bo tam wszyscy się pochowali ci, co handlowali na tym Kercelaku. To ja pa-

miętam, bo ja byłam akurat. I poszedł brat na wachę, róg Żelaznej było i Chłodnej, wacha i poszedł, i tak jak opowiadał brat, że Kocha przekupił masłem, bo tylko Niemców można było masłem przekupić. Nie wiem, czy ktoś o tym mówił. Masło to dla nich była świętość. I wypuścili, dzięki mojemu bratu, to wszystkich kazał zwolnić. I to przez całą okupację mama handlowała z braćmi mięsem. Ja chodziłam... poszłam do szkoły na ulicę Dzielną. Na Dzielnej ulicy chodziłam do szkoły, róg Nowolipek i Dzielnej. Później tam było już zajęte jako getto, to przeszłam na Górczewską. Przy Wawelberga domu była szkoła zakonnice. Tam skończyłam szkołę podstawową. Zastała nas wojna. To znaczy okupacja zastała nas. I powstanie, i mama mówi: „Słuchaj, trzeba wychodzić stąd, bo tutaj zginieemy”. Brat mój był bardzo taki operatywny i żeśmy wszyscy, i takich paru lokatorów, bo to młodzi, a byli starsi już ludzie, to tak się do nas przykleili, żeśmy poszli na Cmentarz Powązkowski. I tam żeśmy przesпали noc w katakumbie. Bracia odsunęli, tam żeśmy przesпали, a drugą noc w Kajzera domu. To był taki słynny dom, który przylegał do Powązek. I żeśmy tam przesпали w Kajzera domu, przyjęli ludzie od razu tam bez słowa. I rano... U nas taki zatrzymał się pan Cerkies, to był dyrektor cukrowni. I umiał perfektnie po niemiecku. Brat zarządził, że mówi: „Panie Cerkies, niech pan weźmie Basię i siostry dziecko, tę córkę, co ma dwa latka i niech pan idzie. Może pan ich uratuje. Niech oni chociaż przeżyją. Tych dwoje, siostra i siostry ta dziewczynka, Lidka”. I myśmy poszli na ten wiadukt, a rodzina, reszta została i ci lokatorzy, co tam przyszli z nami. I Cerkies zszedł tam na dół, stała Berta. Stała Berta i Cerkies poszedł do tej Berty, i mówi do tego oficera, że: „Te dzieci straciły matkę, bo matkę zabił szrapnel, a ja tyle doznałem, bo moją całą rodzinę wybili, 11 rodzeństwa i rodzice, 11 wycięli. Siostrze to nawet piersi, ja widziałem. A ja się jeden uratowałem, dlatego że upadłem na mojego brata, a brat już był zabity i myśleli, że ja już też jestem zabity. Ja jestem uratowany i ja wolę iść do Niemców, jak do ruskiego, bo ja całą rodzinę straciłem i wiem, co znaczy”. To on mówi, ten oficer, bo ja byłam przy tym: „Słuchaj, ja was przepuszczę, ja ciebie przepuszczę z tymi dziećmi, ale następna wacha jest tam 100 metrów dalej. Tamci cię nie przepuszczą z tymi dziećmi. Ty lepiej wróć i powiedz powstańcom, że za pół godziny ruszy Berta. Wszystkich wytniemy na Powązkach”. I tak się stało, proszę pana. Myśmy wyszli przez taką dziurę na Ulrichów. Były ogrody Ulricha. I myśmy wyszli tą dziurą. Za nami jeszcze ci lokatorzy, ci ludzie, co z nami szli tak razem, bardzo w brata wierzyli mojego. On już miał wtedy 19 lat. Tak że żeśmy wyszli i ta Berta ruszyła. Też na własne oczy wszyscyśmy widzieli. Ludzkie mózgi, wszystkich wycięli wtedy. Ze trzy razy uderzyła, a przecież to siła była. Mózgi, ręce, nogi wisały na tych... Ludzie w tych katakumbach, bo rano to tak jak mrowie wychodzili wysuwali te płyty i wychodzili z tych grobów. Żywi ludzie. Tam myśleli, że się uratują na cmentarzu. Nie uratowali się. Uczciwie powiedział ten oficer, że za pół godziny, dosłownie z zegarkiem w ręku za pół. Myśmy tyle, co przeszli przez tę dziurę. I później żeśmy tam mieli znajomych na Marysinie. Na tym Marysinie, żeśmy do nich poszli, ale za trzy dni ogłosili, żeby wszyscy powychodzili, co wyszli z powstania, żeby powychodzili z tych mieszkań, bo jeśli kogoś zastaną w jakimś domu z Warszawy, to będą rozstrzelani i spalą dom. To myśmy wszyscy ludzie powychodzili. I pędzili nas do Pruszkowa. I tak jak właśnie mówię, że brat tam doszedł do takiego żołnierza, co szedł z nami tam Niemiec i doszedł do niego, i prosił go, czy by nie pozwolił, żeby odejść, bo tutaj i dzieci idą, moje i mojej siostry. „Uciekajcie, ile was chce, to uciekajcie. Ja nie będę widział tego”. I myśmy się w Ursusie urwali, i w Ursusie zamieszkaliśmy u takiego pana, którego żona w Warszawie prowadziła sklep i została w Warszawie. On nam wynajął, bo tam teściowie mieszkali na Gołębzkach. O, i tak żeśmy... Brat był właściwie z rzeźnictwa. Zaczął kupować krowy i szlachtować z drugim, a ja wносиłam w walizce i handlowałam. Jeszcze Niemcy mi pomagali na wiadukcie nieść te walizki, to ja nieraz i dwie krowy wyniosłam dziennie. I tak się to stało. Później wyzwolenie, to brat stanął i hurtem handlował na rzeźni. Sprowadzał bydło, świnie i tutaj miał hurt. Nawet z Żydem, pamiętam, z Żydem miał spółkę i hurtem handlował. Żyd wy-

jechał do Izraela. Janek to Janek, a zaraz ja sobie przypomnę, bo... Norwid. O, Norwid się nazywał. I tak właśnie. A później on wyjechał. Od razu ograniczyli, że to nie wolno było, zabrali zezwolenia na sprowadzanie i brat wyszedł z rzeźni, prowadził duży warsztat garmazeryjny. 50 ludzi pracowało u brata. Na Cegłowskiej mieszkał. Miał tam swój dom. A ja z mamą... Zaraz po powstaniu, to ja w trzy dni, trzeciego dnia, mówię, pójdę, zobaczę, jak w tej Warszawie jest. I poszłam. Przyszłam aż nad Wisłę, to przy mnie rozerwało, bo nie zabezpieczyli, puścili wojsko też przy mnie. Mówię, że... I koło świętego Wojciecha, przy tym wiadukcie, pod tym wiaduktem, nie zabezpieczyli, nie sprawdzili, to widziałam, jak wysadzili, bo to było jeszcze zaminowane i zginęły tam stosy tych żołnierzy. Ja jakoś przeszłam, bo ja poszłam do kościoła świętego Wojciecha, bo tam kościół zaraz. I tak jak mówię właśnie, że taki oficer czy kim on był, widzi, a ja zmarzłam, bo na lodzie stanęłam i nie dali mi przejść ani na Pragę, ani cofnąć się. I ten oficer mówi: „Weź, poszukaj tam coś czerwonego, a chłopaki zaraz znajdą tutaj kij jakiś, przywiążesz i pójdziesz z nami”. I poszłam, przyszłam tu do znajomej, która była Żydówką. Uratowana. Bo ją też... Mama jej... Bo on był czeladnikiem na Kercalaku, mąż jej. Ona się przechrzczyła, Głowacka. I właśnie mama tak pomogła, i ją przetrzymali też... Marysię Głowacką. I przyszłam, a ona mówi: „Uciekaj, Baśka, bo u nas, jak macie jakieś pieniądze, to jakbyś się wydostała na Pragę, ale uważaj, bo widzisz, jakie to wszystko zaminowane. To powiedz, że już u nas nie idą te pieniądze emisyjne. Już są lubelskie”. I ja faktycznie wydostałam się, przeszłam przez ten lód jakoś, bo już pierwsze wstępne dostałam. I przyszłam, jeszcze brat pojechał do Krakowa, jeszcze zdążył wymienić parę złotych. I ruszył właśnie hurtem tutaj na rzeźni. A ja się wzięłam, stanęłam, róg Marszałkowskiej i Alei. Mówię: „Mój Boże. Tak pięknie tu było. Może ja tutaj...”. Ten już skarbit, inni tam igły gdzieś znaleźli. I zaczęłam handlować, karton taki znalazłam i zaczęłam handlować. Później chodziłam na Pragę i w plecaku przynosiłam. Tutaj róg Marszałkowskiej stanęłam, to za parę minut sprzedawałam, a tu był zieleniak, na Żąbkowskiej był bazar duży, co wychodził aż na Białostocką pod nazwą „Zieleniak”. I tu wszystko było. Futra były, no, w ogóle przeładowane. I parę miesięcyostałam tam na tym rogu Marszałkowskiej i Alei. Pogonili, bo za mną to codziennie jak grzyby po deszczu stawały, to budki zaczęli ludzie już stawiać. Ale nas wyrzucili stamtąd i poszłam na Plac Kazimierza. I tam budkę żeśmy z mamą miały, i żeśmy handlowały mięsem. Cały czas w mięsie. I tutaj brat znalazł mi, co pan Dudziński sprzedawał box tu na Różyckiego. Kupił nam ten box i tu żeśmy stali. Ale później był tak nagonki. Wie pan, takie okropne nagonki, że były te trzy dni bezmięsne. A miałam gospody, to nosiłam. Niby coś tam niosę, to do magla, a nosiłam. Targowa 81 była taka poligrafia, dla ludzi gotowali, dla pracowników. To po kryjomu nosiłam w dni bezmięsne. Później zrobili takie, co chodzili kolejjarze, tramwajarze, mańka taka, pędzel i za ceny. Na rzeźni mięsno, załóżmy, był cennik, sprzedawali za 180, a cennik był u nas w detalu 120. I za to ta komisja specjalna. To ja miałam chyba z 50 protokołów. Ale nie uratowała się mama. Ja już z paroma rozmawiałam takimi. Może by ktoś jeszcze powiedział. Mamę zabrali, bo ja byłam niepełnoletnia, to mamę zabrali za te protokoły, za te wyższe ceny. I do Mielęcina. Okropny obóz był. Okropny, jaki może być, może jeszcze gorszy jak inne obozy. Nie mówiąc o Oświęcimiu. Strasznie. Taka była pani Wolańska, co miała kolekturę, to z głodu umarła i z zaziębienia. No strasznie. Darli pierze, dostali zwapnienia tych i umierali. Ja chodziłam tu, błagałam tego lumińskiego do tej prokuratury generalnej przy Trębackiej, to go po nogach całowałam, żeby mamę zwolnił. I zwolnił mamę. Ale to przeżyłam dramaty. Proszę pana, okropny był czas. I ja go przeżyłam, dlatego mogę dużo powiedzieć. Bo wszystko widziałam i złe, i dobre. Przyszł teraz czas. A ja w tym mieszkaniu w Wielką Sobotę jeszcze miałam rewizję, że wszystko tu przekotłowali, bo baba mnie oskarżyła. 11 miesięcy siedziałam w więzieniu, bo szwagier był jej naczelnikiem w Lublinie. Ona rzekomo sprzedawała rachunki. Sprzedawała. Ale pijaczka była. Zamiast trochę do urzędu wpłacać, to ona nie wpłacała i szwagier mówi: „Ty idź na komendę i powiedz,

daj paru kupców i z nich pościągają, a ty będziesz czysta". I tak zrobiła. Między innymi i mnie podała.

Tomasz Sikorski: Który to był rok?

Barbara Borysiuk: To był, proszę pana, chyba 1975 czy 1976 rok. Tak. W 1956 roku brałam ślub. Tak, to siedemdziesiąty... Nawet tu kiedyś przyjechał pan, co z milicji go wyrzucili, to mówił: „Pani Basiu, pani powinna się zwrócić. Przecież to, co pani przeżyła w tym Lublinie...”, później już taka byłam, że na Rakowiecką mnie zawieźli, przyszła komisja, taki profesor Bulski mówi: „Ona i tak już umrze, to po co ją tutaj w ogóle było przywozić?”. Po 12 godzin miałam przesłuchania. Ale gdybym ją wydała, to by z bazaru wszyscy poszli siedzieć. To moje tylko utrzymanie było, że ja nie wydałam nikogo. Wzięłam wszystko na siebie. To później mnie przewieźli na Namysłowską. Na Rakowieckiej siedziałam. Z Rakowieckiej, jak profesor powiedział, Bulski, że Jerawa, bo dwóch tych profesorów ściągnęli, że: „Ona się już nie nadaje. Ona już nie będzie żyła. Trzeba byłoby zoperować, ale to się nie uda, bo jest duży nowotwór”. I na Namysłowskiej, niewiele, miesiąc na Namysłowską mnie wyrzucili. Tutaj na Toledo. Nazywało się Toledo to więzienie. I tutaj siedziałam, i nie chciałam się meldować. Nasza celniczka mówi: „Borysiukowa, musicie się meldować. Bo wychowawca przedłuży wam jeszcze parę lat, jak będziecie się meldować. A to meldować, ja was nauczę jak. «Ja, Borysiukowa Barbara, więźniarka karno-śledcza, wejście swoje melduję»”. Ja mówię: „Ja ani nie jestem karna, ani nie jestem więźniarką. Więźniarką niesłusznie, to ja się nie będę meldować”. I zapisała mnie do naczelnika. A to był tak porządny człowiek. Ja mówię: „Panie naczelniku, ja siedzę niewinnie, bo mnie baba oskarżyła, pijaczka. Z Lublina mnie wyrzucili, bo mi skończyli. Jak mnie zawieźli na badanie, to od razu leżała kartka «wyrzucić», to od razu. Dopiero jak drugi raz mnie zawieźli, co już ważyłam 42 kilo i miałam guz taki, że nikt nie mógł w celi ze mną wysiedzieć, taki smród ode mnie szedł, to dopiero mnie wysłali na Rakowiecką na badanie. A z Rakowieckiej, proszę pana, przyszedł tu do pana. A tu nikt się nie zajmuje w ogóle moją sprawą. Tomy zrobili z tego. Tomy są podobno. Bo jak jechałam, jak mnie wieźli, to ci konwojenci, którzy mnie przewozili, to powiedzieli, że: «Z pani już nic nie będzie. Pani jedzie, ale pani nie myśli, że pani jedzie na wolność». I on się zajął tą sprawą, i zwolnili mnie. A za parę miesięcy przyszło, że z braku dowodu winy, śledztwo umorzone. Bo ja się nie przyznałam. Powiedziałam, że to wszystko jest kłamstwo, a ludzie na mnie, bo mówię, brali ode mnie towar, a nie oddali mi pieniędzy i dlatego. Bo ja miałam 22 konfrontacje. Przeżyłam tam, to mówię. Mąż siedział w drugim pokoju i patrzył na mnie, i mnie nie poznał, bo ja tak wyglądałam. Nie do ludzi podobna. I faktycznie ten guz pękł. Na Inflanckiej byłam operowana. Przeżyłam. Powiedziałam mojej córce, bo mam jedną tę córkę. Powiedziałam: „Żeby jedna kropla łzy ci nie poszła”. Bo to, co ja przeżyłam, jak zła pałam krzesło, bo mówi: „Ty taka, owaka. Ja cię Warszawianką wyślę, bo ja jestem po wyższej szkole kremlowskiej, a ty kto jesteś? Handlara. Oddaj złoto”. A ja mówię: „To pan idzie i szuka na Bródnie. Ja mam. Ja nie mówię, że nie mam. Nie przepiłam, pracowałam i mam. Ale ja tego nie oddam. A jak pan znajdzie na Bródnie, to proszę bardzo”. To on do mnie: „Ty taka, owaka”. To ja za krzesło, do niego i mu przecięłam głowę, szum się zrobił w komendzie i już widzieli, że nie ma ze mną tu. To te różne sposoby, a jakie to już nie, nie mogę powiedzieć, nie mogę mówić. Sama się ratowałam. 11 dni nic nie jadłam, a te, co ze mną siedziały dziewczyny za mnie jadły i tego wizjera zatykały, że niby ja jem. I upadłam, bo poszłam do zmywania i upadłam, bo już byłam wygłodzona. Jak mąż mnie nie poznał, ludzie ode mnie uciekali, bo chciałam się wydostać na wolność. Więc brat zdecydował mój, jak żeśmy byli na cmentarzu. Zdecydował, żebym ja z panem Cerkiesem i z moją siostrzenicą poszli na wiadukt, że może nas Niemcy przepuszczą, że ja się uratuję z tą moją siostrzenicą. I poszedł pan Cerkies, i zszedł, bo na dole była w pociągu tym, w Bercie było

wojsko. I doszedł do takiego oficera, i mówi, że: „Ja straciłem całą rodzinę, całą rodzinę, 11 osób straciłem w Rosji. Wyrznęli Ukraińcy moją całą rodzinę”. Siostrze to piersi poobrznynali i tak do niego mówił. „Bratu język, matce oczy wydfubali”. I mówi: „To ja wolę iść do Niemców, żeby zginąć od kuli niemieckiej, jak od ukraińskiej”. I ten bardzo się zainteresował i w ogóle bardzo współczuł. Jeszcze tam nam dał na drogę temu Cerkiesowi: „Daj tym dzieciom, żeby zjadły”. To dał tam konserw mu takich w torby i mówi: „Wracaj, idź i powiedz. Za pół godziny Berta będzie uruchomiona i skierowana jest na cmentarz powązkowski”. Za pół godziny właśnie Berta ruszyła. A ja bym chciała naprawdę, bo to, co ja widziałam, ja tu nie wszystko powiedziałam, bo tylko w skrócie. O Mielęcinnie tyle się odkrywa, a nic się nie mówi. Mój Boże, ja cztery dni stałam i nie ja, bo tam było ponad 500 ludzi aresztowanych. W Wielkanoc kazali myć ubikacje, ale mało, drzeć te pierza. Brali ludzi do darcia pierzy, to ludziom kości tylko zostały, bo wapno to wyżerało. Taka pani Wolańska tak chciała żyć. Ona miała przed wojną wielką kolekturę, losowanie. Wie pan, co to jest kolektura, na pewno wie pan. Tak że zmarła z głodu. Nie miała dwa lata żadnego widzenia. Zostało dwoje dzieci, córka i syn. I żadnego widzenia, żadnego ani listu, ani niczego. I z tego wszystkiego zmarła. A ja mówię, chodziłam, po nogach całowałam Łumińskiego. Był prokuratorem generalnym w prokuraturze na Trębackiej. A cztery dni żeśmy stali w deszczu, w błocie, głodni, bo nie chcieli nam dać widzenia. Przysięgam pod Bogiem, jak jestem wierząca. Ja jedna tylko dostałam widzenie z mamą. Jak ją zobaczyłam, to zasłabłam. Nie wiem, jak mnie stamtąd wynieśli do baraku. Bo barak taki był, to nawet nam nie otworzyli tego baraku, żeby nas puścić, tylko na tym deszczu żeśmy stali i w błocie. Po kostki w błocie. Głodni. Ani wody, ani niczego. Ja jedna jedyna. Może on tam zadzwonił czy coś, wniósł ten Łumiński. A też się do niego dostałam, bo się zamknęłam w takim, gdzie te szczotki i te wszystkie rzeczy takie. Te sprzątaczkę co... Ja się zamknęłam w tym pokoju i dopiero rano wyszłam. Kobieta przyszła do sprzątania, sprzątaczką: „O matko”. A ja mówię: „Pani, pani nie krzyczy, bo ja chcę się dostać do pana prokuratora Łumińskiego”. Dostałam się, bo tak to nie było mowy. Gdzie tam do Łumińskiego by się kto dostał.

Tomasz Sikorski: To był rok 1946, 1947?

Barbara Borysiuk: 1946 albo 1947 rok. Wie pan, ja tak już...

Tomasz Sikorski: Okej. Nie, chodzi o...

Barbara Borysiuk: Tak, ja w ogóle powinnam była, ale nie mam komu. Powinnam. Nawet ten śledczy taki był. Bo ten Skarus się nazywał. „Co ty mówisz, szmato? Co ty możesz powiedzieć? Ja skończyłem wyższą szkołę kremlowską. Ja ciebie zniszczę, że tu w ogóle śladu po tobie nie zostanie”. A tam też ginęli na Narutowicza, komenda. I tam w tej komendzie siedziałam. Nie w zamku, tylko w komendzie. Też czterech wojskowych, a mnie wziął ten do dyżurki, żeby tam mu szorowała podłogę i widziałam, jak tych żołnierzy wprowadzili, a oni gdzieś ukradli tajne mapy. Wywieźli, po przesłuchaniu już nie wrócili. Też tam była kaźnia, Boże.

Tomasz Sikorski: A to jest który rok?

Barbara Borysiuk: To musiałabym zobaczyć.

Tomasz Sikorski: Orientacyjnie.

Barbara Borysiuk: Tak, 1976 rok.

Tomasz Sikorski: Jasne.

Barbara Borysiuk: A miałam takiego Kicińskiego też. Bo ja miałam czterech śledczych nad sobą i dwóch prokuratorów. Jak mnie opisali w gazecie, to na cztery strony. Zrobili ze mnie przestępczynię, bo nie mogli sobie ze mną poradzić, bo ja powiedziałam: „Ja mogę tu zginąć, ale ja nikogo nie wydam, bo ja nic nie wiem. Ja nie wiem, kto, co robił, czy kupowali rachunki, czy nie kupowali. Ja nie kupowałam”. Ja miałam z pracowni rachunki i one tam były właśnie od tej Kubiny, co siedziała i z Jeleniej Góry, i z Wrocławia siedziała, i od nas z bazaru cztery osoby siedziały, ale tam to się przyznawali, ja nie. Ja powiedziałam, że się nie przyznam, bo ile ja bym ludzi namieszała, mój Boże. Napisałam nawet do męża. Ani widzenia nie miałam, ani żadnego listu. Ale napisałam, niech czytają sobie. „Ja jedna tylko nie będę na święta i na wigilii, ale inni będą i muszą być, bo oni są nic niewinni. Nie mogę oskarżać ludzi, którzy są niewinni. To ja jedna. Ktoś musi ponieść karę”. Wściekał się ten Skarus, a ten Kiciński, to nawet do męża, mąż poszedł, żeby widzenie, a on mówi: „Panie Borysiuk, uciekaj. Jak żona się nie obroni, to jej nie obroni żaden adwokat. Niech pan nikogo nie bierze. Żona przy takim oskarżeniu, to może się tylko sama obronić, a że się broni, to ja wiem. A że muszę wydać na rok sankcję, to muszę wydać na rok. Ja wiem, że... Ale żona się obroni i żona wszystko przetrwa. A pan niech ucieka, bo tylko patrzeć, jak ja wydam na pana sankcję”. I przyjechał do Warszawy, to mu jeszcze poszłam dla dzieci nakupiłam te śpioszki, rajtuzki, to mówi: „Pani Basiu, niech pani to ruszy, bo pani naprawdę dostanie odszkodowanie, jak pani ma dokument, że z braku dowodów winy śledztwo umorzone, to pani może dostać odszkodowanie”. Ja mówię: „Nie, panie prokuratorze. Panie Kiciński, dobry pan człowiek, bardzo panu jestem wdzięczna, że pan tego męża odesłał”. Bo przecież mnie zabierali, przyjechali z Lublina, jak mnie zabierali, to ja przyszłam od lekarza, gdzie dziecko miało niecałe dwa latka, zapalenie obu stron płuc. A oni zabierają: „Zabrać”. Jeszcze przyjechał ten pan właśnie Skarus na tę rewizję. „Zabierać” - mówi. „Co nas obchodzi tam jej dziecko”. Bo tam jeden z tych mówi, bo to ich jedenastu przyjechało. Jak tu jakaś przestępczyni. „Może zostawić tę kobietę”. Tu mnie zawieźli na Cyryla, to taki, co przychodził do nas na bazar. Był tutaj na Cyryla porucznikiem. To zawsze żeśmy go tam, bo tam tolerował, patrzył przez palce na wszystko. To znaczy zniósł się towar, to udawał, że nie widzi. Zawsze to ja go broniłam, mówię: „Dajcie, dziewczyny, parę złotych, bo widzisz, jaki on dla nas jest”. To mąż podał paczkę, a on taki kawałek spleśniałej kiełbasy podał: „To masz, pani Basiu, znak”. Bo 4 grudnia, w moje imieniny mnie aresztowali. Mówi: „To masz znak, że wszystko dobrze”. Ja mówię: „To to podał mój mąż?” „Tak”. A mąż podał 5 kilo paczkę. A on tylko kawałek tej kiełbasy spleśniałej. A prostytutki mnie uratowały i one mnie pouczyły, jak mam zrobić: „Słuchaj, ty nic nie patrz. Ciebie faktycznie...”, bo płakałam i mróz, to mówią: „A skąd cię zdjęli?” „Nie zdjęli, ja z bazaru jestem, bo handluję tam na kartonie”. „Oj, co ty powiesz”. To zaraz zatłukły do tego z obsługi i: „Daj tutaj ze trzy koce. Kobieta zmarznięta. Dawaj tu”. To przyniósł. I one mnie nauczyły: „Słuchaj, niedługo... A twój mąż?”. Mówię: „Mąż też aresztowany”. „Słuchaj, my tu zaczniemy płuc pokrywą tą od kibla, a ty drzyj się na cały, że cię biją. I ty się wydostaniesz na korytarz. Zaraz będą...”. „Która godzina może być? O, w pół do dwunastej. To o 12:00 będą brać na konfrontację ciebie i męża. A my cię uratujemy. Krzycz, wydostaniesz się na korytarz. Masz prawo. I on ma prawo odmówić zeznań. Że on nic nie wie, co żona robiła, a ty powiesz, że: «Ja męża w to w ogóle... Mąż nie uczestniczył

w niczym. Nigdy nie przychodził do budki. Był zajęty sobą. Miał jakąś przyjaciółkę». Tak było. I tak uratowałam, że męża nie aresztowali. Zwolnili go zaraz. Tam trzy dni byłam. Jak one się opiekowały mną. Sama nie zjadła, tylko mnie dała: „Masz, zjedz, kobieto”. Do Lublina mnie zawieźli. I bardzo bym... Jeszcze raz powrócę. Ten Mielęcín. Bo to, co ja tam zobaczyłam, to nie byłam w obozie niemieckim, ale okropne. W takich chałatach, taki płaszcz, to płaszcz był. Taki chałata tylko narzucony. W drewniakach takich. Pościerane te nogi. Jak oni okropnie wyglądali. Może tak jak ci w Oświęcimiu. Na pewno. Z tego, co widzę tu na zdjęciach. Tak ci ludzie tam wyglądali. Ponad 500 osób tam było, przewijano się powieszonych. Człowiek taki z Saskiej Kępy za jedną czekoladę wystąpił u Wedla w kolejce, wziął tę czekoladę, przyszedł na bazar i chciał sprzedać tę czekoladę, żeby może kupić chleba. I złapali go te agenciaki, złapali, zabrali go gdzie? Do Mielęcína. Za tę czekoladę dwa lata dostał.

Tomasz Sikorski: Do Marynarza.

Barbara Borysiuk: Do Marynarza. A Marynarz był słynny. Ja mam go też zapisanego. Co oni opisali Marynarza. Bo ja im powiedziałam. Ten Janek, co woził Marynarza.

Tomasz Sikorski: Jak pani znajdzie ten album, to pani się odezwie do nas.

Barbara Borysiuk: Znajdę. Jak to nie znajdę. Ja jestem w tym muzeum, jeszcze mam na... To Senatorska? Nie. Elektoralna chyba. Przy Hali Mirowskiej jest takie muzeum rzemieślnika. To ja też, bo ja później to wyszłam z bazaru, bo już tak gnietli, że ja pracownię otworzyłam w Ursusie i miałam pracownię krawiecką. Pracownię miałam krawiecką. To miałam też takiego naczelnika w Pruszkowie w urzędzie, że jeszcze sam to, co zabrali z pracowni, to z powrotem przywieźli z honorami. Umiałam załatwiać. Jakoś ze wszystkiego wychodziłam i umiałam załatwiać, że kto nie załatwił, „Idź do Baški. Baška ci załatwi. Idź do Baški”. Przychodzi z płaczem. „A gdzie? No, na Grenadierów. Ale tylko Baška może załatwić”. Tak że ludziom dobrego, dlatego tutaj mam, tu nie ma dnia, żeby ktoś nie przyszedł. Tu nie ma ludzi, którzy po 20 latach, co wyszli z bazaru, to jeszcze mnie odwiedzają.